

# Moje euroleki

Nigdy się nie interesowałem piłką nożną. Na wuefie stałem na bramce i puszczałem takie szmaty, że wstyd się przyznać. Lubiłem za to biegać, pływać, a w swoim czasie także dźwigać żelastwo. Przydało się to później do „kolportażu” pisma, unoszenia ciężaru odpowiedzialności za „zniszczenie” kilku marek w Polsce i pływanie między wierszami, kiedy nie wiedziałem, co mam o kolejnym cudzie techniki napisać. Tymczasem piłka znów mnie dopadła.

Powiem szczerze, że jeszcze się te mistrzostwa nie zaczęły, a już mam ich dosyć. Do tego stopnia, że postanowiłem salwować się ucieczką z Warszawy na czas, kiedy będą się odbywać najważniejsze mecze. Mam już nawet zaplanowany program spotkań. Polska – Rosja – siostra; Grecja – Szwecja – rodzice, Rodezja – Zambezja – ciocia z wujkiem. Zamierzam się tego trzymać choćby z tego powodu, że przyszło mi mieszkać w centrum wydarzeń, pięć minut z buta od Stadionu Narodowego. Kolega miał nawet pomysł, żebym wynajął mieszkanie na czas igrzysk, to zarobię na tonę chleba. Bardziej przeraziła mnie jednak tona ewentualnego gruzu zastanego na środku pokoju odsłuchowego po powrocie.

Ale wyjadę i tak. Nie to, że się boję „terrorystów”, którzy zaatakują bombą tuż obok osiedlowej furtki. Chociaż cholera wie – coraz więcej wydarzeń na świecie przekonuje do „teorii spiskowych”. Znowu mam bardziej przyziemne lęki – ulice spłyną raczej dziesiątkami milionów brudnych „bombek” zrzuconych przez kibiców z całej Europy. Gdybym tak jeszcze kolekcjonował paczki po fajkach z zagranicznymi banderolami, to miałbym raj, ale ostatnio moje hobby ogranicza się do zbierania na rachunki, czynsz i ratę hipoteczną. Na szczęście (?) w złotówkach.

Z infrastruktury też nie skorzystam. Kiedy się dowiedziałem, że Euro w Polsce, cieszyłem się jak dziecko. Bo co, jak

co, ale okolice Kina Praha i Portu Praskiego będą przecież wizytówką kraju – tam pójdą się bawić Panowie Etranżerowie po meczach. Gdzie tam... Jak było, tak jest. No, Dworzec Wschodni odnowiony. Będę miał fajne nocne sklepy i hot-doga, jak w nocy głód przycisnie.

Najbardziej męczą mnie media. W każdej stacji, programie, gazecie, portalu tylko Euro i Euro. Pomyślałem więc, że tak trzeba, więc i u nas nie może zabraknąć tego tematu. Niestety, przegapiłem informacje, czy są już jakieś „oficjalne słuchawki”, czy może chociaż jakiś kabelek? W końcu ostatnio jedna z polskich firm wyprodukowała kable specjalnie dla kobiet, to z tymi sportowymi powinno pójść z górki. Bo oficjalna muzyka już jest.

Ha! I znowu zaraz obok mnie rzuciło, bo Kocudza bliźniutko rodzinnego Zaklikowa, oj, bliźniutko. Żeby się nie okazało, że jakaś znajoma w tych Jarzębinkach śpiewa. Być może patriotyzm lokalny natchnął mnie do tego wyboru (choć nie wiem, czyjego) sympatią. Wiem, że krytykują go wszyscy, a już pewnie najbardziej nasi artyści scen nagłośnionych i oświetlonych. Znam jednak to towarzystwo dość dobrze, choćby z racji przygody z wytwórnią płytową i wiem, że wszyscy zwęszyli kasę i promocję, jak dzik żółędzie pod dębem. Jeżeli jesteście naiwni, to wiercie w natchnienie futbolem. Gdyby „oficjalna piosenka” wyszła spod pióra jakiejś gwiazdy estrady, to mogłaby być dopiero nędza. Nie muszę chyba

dowodzić, na jakiej pozycji w światowym dorobku znajduje się nasza muzyka pop, zwłaszcza ta współczesna. A folklor to folklor. Jest irlandzki, francuski, rosyjski, rumuński, muzyka Senegalu i podnóży Andów. Żaden nie stoi wyżej ani niżej. A jak jakaś gwiazda uważa inaczej, to znaczy, że ma we łbie większą sieczkę, niż się wszystkim zdawało. Odsyłam do książek Kolberga.

A propos oficjalnych rzeczy, którymi powinniśmy się otoczyć. Jest oficjalny sok, oficjalna woda i pewnie oficjalny batonik oraz orzeszki w puszcze. I to też napawa mnie lękiem, bo przecież nie wypada się podczas takiego święta byle czym odżywiać. Jak Boże Narodzenie, to karp, jak Wielkanoc, to jajko i kielbasa. A jak Euro? To samo, ale oficjalne.

Boję się, że nie mam w lodówce właściwych produktów. Ale człowiek podobno na oficjalnej wodzie i miesiąc przejedzie. Nie mam oficjalnego mydła ani pasty do zębów. Ale tym przejmować się nie zamierzam, bo mogę postąpić jak patriota lokalny, tym razem pewien góral, który na wielki bal przebrał się za oscypka. Siedział w kącie i śmierdział.

Przed tymi wszystkimi strasznościami nie uchroni mnie kalendarz spotkań, bo wszystkie za blisko, geograficznie ujmując. Ale może by tak skoczyć w przerwie do Grecji? Krążą plotki, że zanim mistrzostwa się skończą, to już nie będzie Europa, a w sumie blisko i w drachmach taniej niż dotychczas.

Na razie postanowiłem wałnąć lufę. Nieoficjalnie. Jadę do nocnego, proszę o to, co trzeba, a facet mi mówi: to jest oficjalna naklejka. Jak pan zbierze jeszcze dwanaście takich, to dostanie pan piłkę. Ale ja mam już jedną. Pod żebrami. Oficjalnie zresztą, bo od jakiegoś czasu prymitywnym wciąganiem i napinaniem mięśni ukryć się jej nie da. Tak jak tego, że Port Praski rumem z colą, swojskimi szantami w tawernach i przystanią dla motorówek à la Saint Tropez Etranżerów nie przywita. Przez następnych 20 lat.

Oficjalna okazja przepadła.

Maciej Strycki